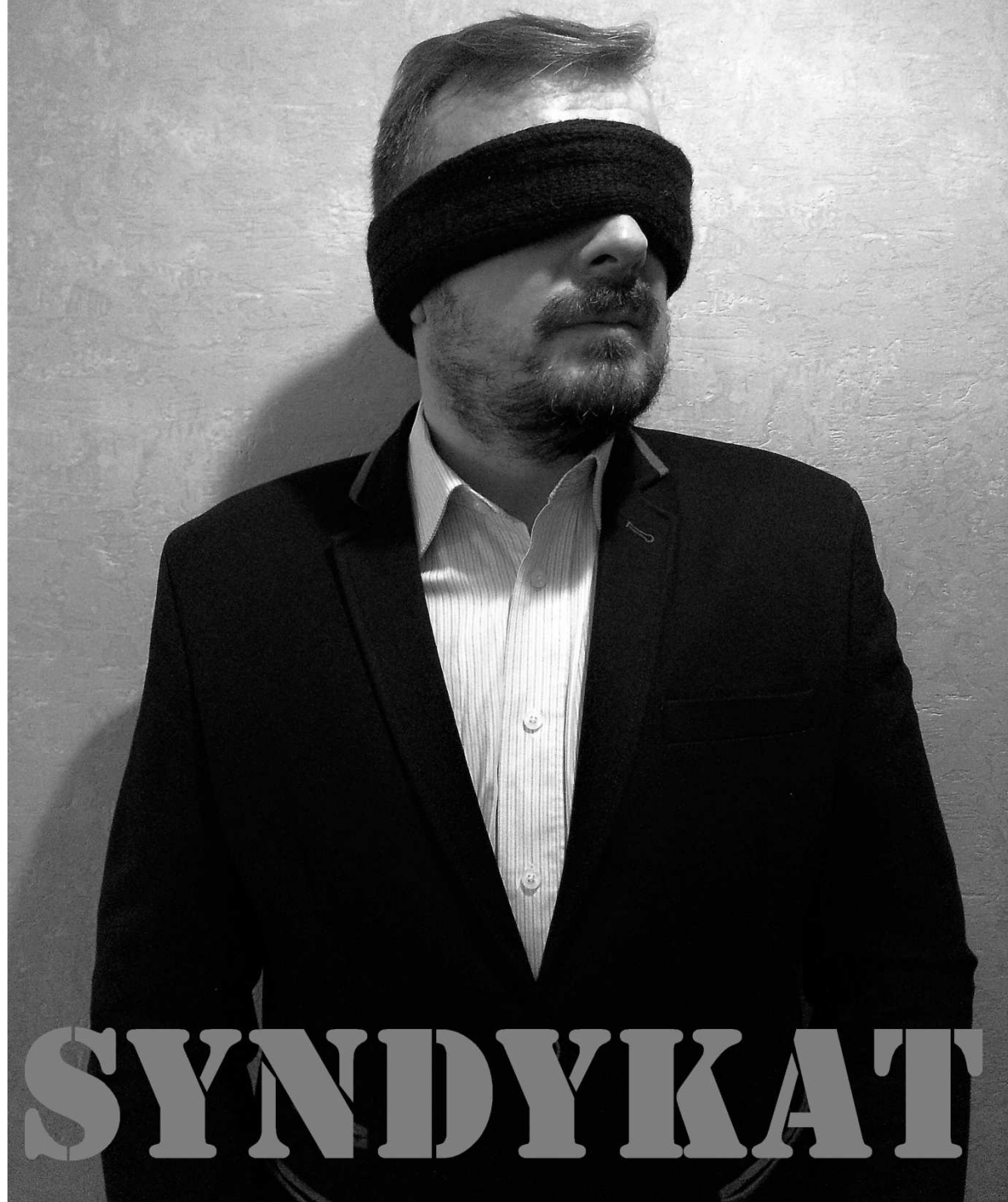


**PIOTR ADAMEK**



**SYNDYKAT**

Projekt i wykonanie okładki: Piotr Adamek  
Korekta tekstu: Agnieszka Kamińska  
Przygotowanie wersji elektronicznej: Piotr Adamek  
Warszawa 29 Stycznia 2017 rok.  
ISBN: 978-83-945591-3-7

Roku Pańskiego 1812 przyszła mroźna i sroga zima. Pobita wielka armia Napoleona rozpoczęła swój marsz powrotny spod Moskwy. Praktycznie zdziesiątkowani żołnierze wracali, ciągnąc ze sobą kosztowne łupy zrabowane w moskiewskich cerkwiach i pałacach. Marsz utrudniał wszechobecny siarczysty mróz. Droga powrotna wiodła przez ziemie Rzeczypospolitej. Mimo zajęcia Moskwy, jego cesarskiej mości nie udało się pokonać wojsk Cara. Za wojskiem ciągnięte były wozy wypełnione zdobycznymi dobrami, często nawet kosztem zapasów żywności. Dawało to łatwą możliwość odwetu wojsk carskich na poruszających się wolno żołnierzach Napoleona. Szczególnie skuteczni w atakach na wycofujące się wojska byli Kozacy. Na ziemiach Rzeczypospolitej panował spokój, mimo ostatnich wydarzeń i powracającego wojska starano się żyć normalnie. Mocarstwa Europy pogrążone były w wojnie, a na polskich ziemiach zachowywano pozory spokoju, bacznie przyglądając się toczącym wokół wydarzeniom.

Mały dworek szlachecki, stojący wśród otaczających go sporych zasp, znajdował się w Trzcincu w okolicach Lublina. Biel budynku zlewała się z zalegającym wokół śniegiem, jedynie dach odcinał się ciemniejszymi plamami w miejscach, gdzie śnieg zdążył się zsunąć, opadając przed budynek. Do dworku prowadziła szeroka droga biegnąca do głównego wejścia. Wzdłuż alei stały strzeliste, wysokie topole rosnące równym rzędem po obu stronach. Tadeusz Giedłowicz spacerował po ośnieżonym ogrodzie, mimo iż służył już w wojsku, nie zaciągnął się do armii Napoleona razem z wieloma polskimi żołnierzami. Był to mężczyzna średniego wzrostu, przystojny, dobrze ubrany, jak przystało na herbowego szlachcica. Gęsta, czarna czupryna rozwiewana była chłodnymi podmuchami wiatru, a postawiony kołnierz płaszcza zasłaniał go prawie do połowy głowy. Od jakiegoś czasu Tadeusz toczył wewnętrzną walkę ze sobą myśląc o siostrze, o przyszłości, o wojnie. Z jednej strony trapiła go bezsilność, był tu na miejscu, podczas kiedy rodacy walczyli u boku Napoleona, z drugiej wiedział, że postąpił dokładnie tak jak musiał. Został mając świadomość obowiązku opieki nad gasnącym ojcem i siedemnastoletnią siostrą Elżbietą. Mając trzydzieści lat doskonale zdawał sobie sprawę z czyhających na młodą Pannę niebezpieczeństw i nie mógł pozostawić jej praktycznie samej. Po śmierci matki i ciężkiej chorobie ojca został głową rodziny, musząc zapewnić im bezpieczeństwo. W domu zostali już tylko sami, nie licząc sędziwego ojca Leopolda i mocno okrojonej służby. Giedłowiczowie pochodzili ze starego rodu szlacheckiego i choć ich majątek skąpy nie był, z biegiem czasu topniał coraz bardziej, dodatkowo sytuacji nie polepszała panująca wokół wojenna zawierucha ...

\*\*\*\*\*

- Niech cię uściskam Janku, jak widzę całyś i zdrow, cieszy mnie to ogromnie – powiedział, obejmując Jana.
- Jakże brakowało mi pana, Elżbiety, Tadeusza i tego domu, w którym spędziłem najlepsze lata, i w którym podejmowano mnie zawsze z ochotą – wyszeptał wzruszony Jan.

Leopold traktował Jana jak syna, oboje z żoną gościli go zawsze chętnie. Dużo przeszedł w życiu i nie raz służył szablą Rzeczpospolitej. U kresu życia nie chodził już i znacznie podupał na zdrowiu. Zdawał sobie sprawę, że jego droga dobiega końca, jednak zachowując wciąż niezmałony umysł, interesował się bieżącymi sprawami kraju i obecnie przetaczającą się przez te tereny wojną.

- Mówże Janku, jak na służbie u jego cesarskiej mości, jakie wieści z frontu przynosisz?
- Panie Leopoldzie, cóż można rzec, cofamy się pobici pod Moskwą, Kozacy coraz bliżej w pościgu, tylko patrzeć nieuchronnych potyczek. Kto wie, co przyniosą najbliższe wydarzenia, teraz w szeregach większa obawa o jutro, niż zapał do walki – powiedział ze smutkiem Jan.
- Trudno słuchać takich wieści, a i serce przy nich drży o kraj – odparł Leopold.
- Może by tak tatko dał choć usiąść i posilić się naszemu gościowi, zaraz podamy do stołu – przerwała rozmowę Elżbieta i śmiejącymi się oczami zerkała na Jana.
- Tak, tak, racja, siadaj Janku – rzucił przepraszająco Leopold.

Po chwili wszyscy siedzieli przy dużym stole czekając na obiad. W trakcie posiłku chcieli się dowiedzieć jak najwięcej o wyprawie Jana pod Moskwę.

- Mów dalej Janku, co teraz będzie, jakie wieści na froncie słyszałeś? – rzekł z pośpiechem Leopold.
- No cóż, nasze wojsko powoli ciągnie na zachód, Kozacy na plecach prawie siedzą. Nim mrozy ustąpią, ani chybi idący za Francuzami Moskal Rzeczpospolitą zajmie – powiedział Jan wypowiadając słowa z rezygnacją.

- Boże, dopiero Napoleon i Car Aleksander I Księstwo Warszawskie powołali, żeby teraz ziemie polskie Moskał zajął. Służąc u Napoleona osłabiliśmy po przegranych bojach. Nie obronimy się, a Car z zemsty ziemie zajmie i pod swoją jurysdykcję weźmie. Powiedz Janie, zostało w tych żołnierzach jeszcze choć trochę ducha do walki? – zapytał Leopold, podnosząc pełne nadziei oczy.
- Tak, choć słabi, ducha nie zatracili, ale nadzieje płonne coraz bardziej, teraz zależni od Francuzów, zaraz pod zależność ze wschodu trafić możemy – odrzekł Jan.
- Wierzę, że nadzieja nie zgaśnie, obaczycie poderwiemy się wkrótce i mimo wszelkich przeciwności sięgniemy po wolność dla Polski – odezwał się zaniepokojony słowami przyjaciela Tadeusz ...

\*\*\*\*\*

Niedaleko dworku, brodząc w głębokim śniegu, dwóch francuskich żołnierzy przedzierało się przez zasy. Udało im się zbiec po niedawno przegranej walce z Kozakami, nie wiedzieli czy uda im się gdziekolwiek dotrzeć. Nie dość, że obaj byli ranni to jeszcze postępujące odmrożenia stóp i dłoni pogarszały sytuację. Przedzierali się przez śnieg ostatkiem sił, starszy z nich upadał co chwilę i wkrótce poczuł, że zaczyna tracić przytomność.

- Druhu, nie dam już rady - wybełkotał starszy z żołnierzy.
- Jacques jeszcze chwilę, musimy znaleźć jakieś miejsce na odpoczynek i nocleg.

Idący z nim przyjaciel z wysiłkiem trzymał pod pachą druha. Początkowo starszy żołnierz próbował pomagać powłócząc nogami, ale wkrótce opadł z sił i był tylko ciągnięty przez młodszego kolegę. Kiedy obaj stracili już jakąkolwiek nadzieję na ratunek, spostrzegli wyłaniający się na wzgórzu dworek ...

\*\*\*\*\*

W niedużym pomieszczeniu ciężko było walczyć, mrok panujący w piwnicy nie tylko ograniczał ruchy, ale też nie pozwalał na precyzyjne ciosy. Walczący pod podłogą mężczyźni siekli szablami właściwie na oślep, tylko mniej więcej wiedząc, w którym kierunku zadawać ciosy. Jęk bólu, który dał się słyszeć z dołu świadczył o skutecznym trafieniu jednego z walczących.

Na górze Tadeusz zrywając szable ze ściany, po usłyszeniu krzyku z piwnicy, zatoczył łuk pochwyconą bronią i starł się z oficerem. Tak jak sądził, walka z doświadczonym i zaprawionym w bojach żołnierzem nie była łatwa. Odwykł od szabli pozostając w domu, by zadbać o ojca i siostrę. Jan sięgnął po broń, ale najpierw podbiegł do piwnicy i pochyłony nad wejściem krzyknął.

— Sieniawa!

— Żyję Pułkowniku – usłyszał w odpowiedzi.

Dopiero kiedy sprawdził przebieg walki na dole, dołączył do Tadeusza i przewaga przechyliła się na ich stronę. Kozak bronił się zaciekłe, co jakiś czas starając się nawet wyprowadzać ataki, ale spychany cofał się w większości, już tylko parując zadawane ciosy. Z krzyków Jana zorientował się, że jego podkomendny nie żyje, zdając sobie sprawę ze swojego beznadziejnego położenia. W pewnym momencie atak obu mężczyzn okazał się ostateczny. Oficer jęknął jeszcze, kiedy z brzękiem spadła na podłogę wytrącona mu szabla.

— Pomiłujcie – po czym kolejny cios Tadeusza sprawił, że sztych szabli zagłębił się w ciele Kozaka, który charcząc osunął się na podłogę.

— Szybko mogą się zorientować, że nie wrócili i tylko patrzeć, jak wyślą kolejnych dla sprawdzenia okolicy. Tylko tym razem będzie ich więcej – powiedział Sieniawa, podchodząc do stojących nad żołnierzem.

— Musimy coś zrobić z ciałami, trzeba ich zakopać, tylko trudno będzie, kiedy ziemia na kość zmarznięta – dodał Jan.

— Nie ma innej rady, musimy zaryzykować, nie wiemy kiedy przybędą kolejni – powiedział Tadeusz.

— Z Francuzów nic nie zostało, Kozak trafił od razu na nich, nie mogli się bronić, a kiedy skoczyłem do niego, było już za późno. Przynajmniej skrócił ich męki i tak nie dotrwaliby do rana – usłyszeli za sobą głos Sieniawy.

— Sprawdźcie co z ojcem, Elżbietą i pozostałymi – rzucił Tadeusz i przypomniawszy sobie o ostatniej rozmowie z francuskim oficerem, skierował się do piwnicy i wszedł do niej.

Kiedy wyszedł na górę, trzymając w dłoni chlebaki żołnierzy, wszyscy siedzieli już zebrani przy stole. Tadeusz położył wojskowe torby przed nimi i powtarzając przebieg rozmowy z oficerem francuskim, ostrożnie sprawdzał zawartość. Patrzyli na niego zdumieni, kiedy z jednego wyjął złożony list i narysowaną naprędce mapę z oznaczeniem miejsca ukrycia kosztowności wiezionych przez francuski pułk ...

\*\*\*\*\*

Rok 2016.

Zbliżała się godzina osiemnasta, siedziałem pochylony nad biurkiem kończąc raporty z całego miesiąca i miałem wreszcie wyjść z pracy. Wprowadzałem ostatnie dane do arkusza Excela, kiedy zadzwonił telefon. Gdy odebrałem, w słuchawce usłyszałem głos Izy.

- Jak tam, kończysz wreszcie?
- Właśnie zaraz będę się zbierał, a Ty wyszłaś już z pracy?
- Tak, jeśli mógłbyś przyjeźdź proszę po mnie, kończę zakupy, jestem w tej galerii niedaleko.
- Dobra, będę za piętnaście minut.

Całe szczęście właśnie wpisałem ostatnie dane i wysłałem maila z raportami. Wyłączając laptopa zarzuciłem na siebie kurtkę i w pośpiechu wyszedłem z biura. Zjeżdżając windą na parking podziemny, cieszyłem się z rozpoczynającego się weekendu. Wreszcie odpoczniemy i będziemy mieli z Izą trochę czasu dla siebie. Zapowiadana ładna, ciepła i słoneczna pogoda miała być dopełnieniem wolnych dni. Wsiadając do samochodu uśmiechnąłem się sam do siebie, związek z Izą nabierał tempa i było nam ze sobą naprawdę dobrze, wreszcie od dłuższego czasu byłem szczęśliwy. Wyjeżdżając z parkingu skierowałem się do galerii znajdującej się praktycznie po drugiej stronie ulicy. Gdy dojeżdżałem, zobaczyłem Izę czekającą na mnie przy wejściu do budynku.

Zatrzymałem się i pomogłem spakować jej torby z zakupami do bagażnika. Kiedy wsiedliśmy, Iza uśmiechnęła się do mnie i pocałowała.

- Kochanie, jakie mamy plany na weekend? – zapytała z figlarnym uśmiechem.
- Odpoczynek, dużo wina i seksu – odpowiedziałem, odwzajemniając uśmiech.
- No to na co czekasz, ruszaj, szkoda każdej chwili – roześmiała się.

W drodze do domu, na wyświetlaczu deski rozdzielczej samochodu, pojawiła się informacja o przychodzącym połączeniu. Dzwonił Marek, którego znaleźliśmy oboje, odebrałem włączając automatycznie połączenie przez bluetooth.

- Cześć Marek, uprzedzam jesteś na głośnomówiącym, jedziemy z Izą samochodem, więc proszę żadnych tekstów o naszych wypadach na panienki – poczułem mocne szturchnięcie łokciem od siedzącej obok Izy.
- Głupiek – skomentowała, w głośnikach samochodu było słycać parsknięcie śmiechu Marka.
- Matko, Iza jak Ty z nim wytrzymujesz, weź go oddaj, niech się inni męczą.
- No niestety zakochałam się nieszczęśliwie, co u Ciebie?
- Wszystko w porządku. Słuchajcie, nie chcielibyście się oderwać od tej nudnej rzeczywistości i pojechać ze mną i Magdą połązić trochę po górach?
- Kuszące – rzuciła Iza.
- Gdzie, kiedy i jaki macie plan? – zapytałem.
- Myśleliśmy o Rumunii, po pierwsze tam Karpaty są podobno fantastyczne, poza tym chcielibyśmy wejść do największej jaskini mającej długość prawie pięciu kilometrów. Wiecie, ogólnie raczej aktywny wypoczynek, a wieczorem biesiady z dużą ilością wina. Chcemy jechać za trzy dni, znaleźliśmy lot do Bukaresztu w rozsądnej cenie, zarezerwowaliśmy już nocleg i mamy też zaklepany transport z lotniska. We czwórkę byłoby nam raźniej i weselej, dacie się skusić?
- Mało czasu dajesz na decyzję, ale ja z chęcią, nie wiem co sądzi Iza. Poza tym musiałbyś nam dać czas do jutra, spróbowalibyśmy do poniedziałku zorganizować urlopy. Na ile dni chcecie jechać?
- Na tydzień, w piątek planujemy powrót. Dobra zastanówcie się i dajcie mi jutro znać, w razie czego szybko się zorganizujemy – powiedział Marek.
- Ja również chętnie, przecież nie mogę go puścić samego, jeszcze sobie coś zrobi, wiesz jaki jest zdolny – powiedziała Iza, chichocząc.
- Dobra, w takim razie czekam na waszą decyzję i mam nadzieję, do zobaczenia na lotnisku.
- Trzymaj się, damy znać jak najszybciej – odpowiedziałem, kończąc połączenie.
- I jak, chcesz jechać? Ja tam z chęcią oderwę się od roboty – zapytałem Izę.
- No pewnie, może być naprawdę fajnie.



— Dobra, to zostało nam tylko załatwić sobie wolne w pracy.

Po ostatniej przygodzie z odnalezieniem królewskich regaliów i pochówku Mieszka oboje cierpieliśmy na niedosyt wrażeń. Mimo, że chwilami przygoda była naprawdę niebezpieczna, stanowiła fantastyczne oderwanie od rzeczywistości. Poza tym brakowało nam trochę tej adrenaliny i zaskakujących nas ciągle wydarzeń. Wiedzieliśmy, że taki wypad dobrze nam zrobi, w końcu od ostatniej przygody minął prawie rok. Nie czekając, jeszcze w drodze do domu, skontaktowaliśmy się ze swoimi przełożonymi w sprawie urlopów. Tak jak ja dostałem tydzień urlopu właściwie bez problemu, tak urlop Izy, z uwagi na obecnie prowadzone zadania, był uzależniony od dokumentacji, którą musiała skończyć chcąc go dostać. Niestety, część pracy musiała zrobić jutro w domu. Piątkowy wieczór minął nam szybko, tym bardziej, że Iza siedziała na górze pracując, a ja starałem się dowiedzieć czegoś więcej o rumuńskich szlakach Karpat i tej największej jaskini. Iza, chcąc zdążyć, pracowała prawie całą noc i w sobotę koło południa otrzymała akceptację materiałów, które wysłała i tym samym zgodę na tygodniowy urlop. Oczywiście od razu zadzwoniliśmy do Marka, który ucieszony wiadomością o naszym wyjeździe, szybko zarezerwował dodatkowe miejsca dla nas, zarówno na lot jak i nocleg. Po ustaleniach dotyczących kwestii co ze sobą zabrać i jak się ubrać, rozpoczęliśmy pakowanie. Przygotowując się, z ekscytacją myśleliśmy o poniedziałkowym wyjeździe. W niedzielę przy śniadaniu rozmawialiśmy o informacjach przeczytanych w przewodniku. Poprzedniego dnia udało nam się jeszcze wymienić pieniądze przeznaczone na wyjazd na rumuńskie leje i teraz spakowani byliśmy gotowi do wyjazdu. Pamiętając, że lot do Bukaresztu mamy z samego rana położyliśmy się spać wcześniej niż zwykle.

W poniedziałek koło godziny 7:00 samolot podchodził do lądowania na lotnisku imienia Henri Coanda. Kiedy zatrzymał się na płycie lotniska, wysiadając skierowaliśmy się do podstawionego dla pasażerów autobusu. Jadąc patrzyliśmy na nowoczesną bryłę budynku, mieszczącą halę odlotów i przylotów. Podekscytowani, wychodząc z lotniska, podeszliśmy do dużego vana z wytartym nieco z boku napisem „Romania travel” i ledwo widocznym szkicem Draculi. Dwóch mężczyzn, stojących przy samochodzie, przywitało się z nami płynną angielszczyzną i po potwierdzeniu naszych tożsamości spakowali bagaże do vana. Jak się szybko dowiedzieliśmy, czekało nas około ośmiu godzin jazdy z lotniska pod Bukaresztem do miejscowości Meziad położonej niedaleko jaskini, którą chcieliśmy odwiedzić.

Samochód okazał się na tyle komfortowy i wygodny, że wkrótce po rozpoczęciu jazdy co jakiś czas zapadaliśmy w drzemkę, nadrabiając niedobory snu po porannej podróży. Koło godziny 15:00 dojeżdżaliśmy do celu. Jadąc niemal przyklejeni do szyb samochodu, podziwialiśmy otaczający nas krajobraz. Jechaliśmy doliną otoczoną wspinającymi się niemal pionowo zboczami gór, które porastał gęsty las iglasty. W ich wyższych partiach biel wapiennych skał poprzecinana była soczystą zielenią, jakby pnących się po nich roślin. Mimo dość wysokiej temperatury, w okolicach niektórych szczytów, skały oblepione były połączonymi leżącym śniegu. Poniżej wznoszącej się stopniowo w górę drogi, którą jechaliśmy, ciągnęła się z szumem wąska wstążka płynącej rzeki. Niewielkie ścieżki, odbijające co jakiś czas w bok od głównej drogi, ciągnęły się wznosząc w górę i niknąc wśród drzew. Kręta droga, którą od przepaści oddzielała niewysoka barierka, była dopełnieniem górskiego krajobrazu. Po paru minutach dalszej jazdy skręciliśmy w boczną dróżkę i wspinając się w górę dotarliśmy na polanę, przy końcu której znajdował się nieduży pensjonat, w którym mieliśmy nocować. Wciąż nieco oszołomieni pięknem otaczających nas widoków, wysiadając z samochodu łączywie chłoniliśmy krajobraz wokół. Po wypakowaniu bagaży z samochodu, skierowaliśmy się ku wejściu do uroczego drewnianego domu, na schodach którego czekał już na nas właściciel. Był to starszy pan o imieniu Liviu i o rozbrajającym uśmiechu, biegnącym od ucha do ucha. Po krótkim powitaniu wskazał nam nasze pokoje, oba były równie obszerne z zapierającym dech w piersiach widokiem na okoliczne szczyty. Pozostawiliśmy bagaże w pokojach i schodząc na dół rozliczyliśmy się z właścicielem za tygodniowy pobyt. Pytając go o przewodniki, otrzymaliśmy dosyć dokładne mapy turystyczne najbliższych terenów z oddzielnie opisaną pobliską jaskinią, do której mieliśmy się jutro udać.

Zanim wyszliśmy właściciel przedstawił nam swoją żonę, z którą prowadził pensjonat. Po krótkiej rozmowie poszliśmy przejść się po okolicy. Wokół wzgórza rozdzielone były zielonymi polanami, na których co jakiś czas stały nieduże domki, rozrzucone w nieładzie na płaszczyznach łączących szczyty. Ciepły i słoneczny dzień sprawiał, że promienie słońca, przecinając wzgórza, oświetlały jakby punktowo ich ściany i położone między nimi polany. Płynące leniwie chmury wydawały się być prawie na wyciągnięcie ręki, zahaczając o co wyższe szczyty. Wkrótce postanowiliśmy wrócić do pensjonatu i rozpakować potrzebne rzeczy, aby przygotować się do jutrzejszego zwiedzania jaskini Pester Meziad. Kiedy wróciliśmy do domu i szykowaliśmy się do wyprawy, przyszedł właściciel i zaprosił nas na dół do siebie ...

\*\*\*\*\*

Wsiadliśmy do samochodu i z włączoną nawigacją ruszyliśmy w kierunku jaskini. Jaskinia okazała się być bliżej niż sądziliśmy, zatrzymaliśmy Suzuki na ogólnodostępnym parkingu. Przy dosyć dużym zainteresowaniu zwiedzanie odbywało się w cyklach co dwie godziny. W zebranej kilkunastoosobowej grupie czekaliśmy przy wejściu, prowadzący nas przewodnik instruował o podstawowych zasadach bezpieczeństwa i na wszelki wypadek rozdali nam miniaturowe nadajniki. W środku było dosyć chłodno, ale widok zapierał dech w piersiach. Po wejściu do jaskini otaczające skały rozchodziły się na obie strony, ukazując obszerne wnętrza. Strop usiany był wiszącymi stalaktytami, odwrócone stożki były jakby do niego przyklejone. Oświetlone dla turystów dodatkowo lampami LED robiły niesamowite wrażenie. Wiszące sople wyglądały jak zęby gęstych grzebieni, poukładanych przy stropie w nieładzie. Dodatkowo, miejscami lśniły i iskrzyły się znajdującymi się w naciekach minerałami. Szlak prowadził szerokimi przejściami, co chwilę przemieszczaliśmy się z jednej części jaskini do drugiej, które połączone były wąskimi i krótkimi korytarzami. Wyglądało to tak, jakbyśmy przechodzili z jednej dużej sali majestatycznego zamku do drugiej. W niektórych szerszych fragmentach jaskini, z dala od szlaku, czerniły się kolejne przejścia do zamkniętych korytarzy. Wokół czuć było wszechobecną wilgoć i chłód skał. Niektóre części jaskini były wyższe niż inne, wiszące nacieki sopli stalaktytów wyglądały jak zdobione żyrandole mieniące się kryształkami.

Prowadzący nas przewodnik zatrzymywał się co jakiś czas, podając garść informacji dotyczących wielkości i głębokości jaskini, okraszonych co ciekawszymi opowiadaniem i legendami związanymi z jaskinią. Posuwaliśmy się powoli, cały czas schodząc niżej, zagłębiając się w skalną grootę biegnącą pod ziemią w dół. Podczas zwiedzania Marek zaczął zerkać na ciemne otchłanie zamkniętych korytarzy, z coraz większym zainteresowaniem. Mijając kolejny zbliżył się do Izy i do mnie.

- Co wy na to, żebyśmy odłączyli się na trochę od grupy i weszli w któryś z nich – szepcząc, wskazał na szeroką odnogę skalnego korytarza biegnącą w ciemność.
- Zgłupiałeś do reszty, pomijając to, że moglibyśmy z niej nie wyjść, przewodnik zauważyłby naszą nieobecność – rzuciła Iza.
- Oj nie bądźcie tacy sztywni, jak przygoda, to przygoda – powiedział Marek, ścisząc głos.

— Przecież weszlibyśmy niedaleko, właściwie tylko zerknąć co jest dalej. Nie wiem czy widzieliście, ale w niektórych korytarzach lekko odbijają się refleksy wody. Wyobraźcie sobie te mieniące się sople wiszące od góry, a pod nimi tafle niezmażonej krystalicznie czystej wody, to musiałby być widok – zachęcał dalej Marek.

Po minie Magdy widać było, że zaczyna się łamać mając w głowie wizje Marka, Iza również zamyśliła się przez chwilę.

— Dobra, wybieramy jeden najbardziej obiecujący i wejdziemy, ale nie zagłębiając się daleko, przygotujcie latarki – powiedziałem, odwracając głowę do pozostałych.

— Świry – powiedziała Magda, wciąż nie będąc pewna czy to dobry pomysł.

Po chwili odłączyliśmy się od grupy i sprawdzając czy ktoś zwraca na nas uwagę, skierowaliśmy się do jednego z korytarzy, na stropie którego faktycznie widać było lekko poruszające się refleksy światła. Po przejściu paru metrów w świetle latarek, zobaczyliśmy rozszerzające się wejście. Mijając je, naszym oczom ukazała się obszerna część jaskini z dużym, podziemnym zbiornikiem wodnym. Światło latarek odbijało się w płaskiej tafli wody, która była tak przejrzysta, że snopy światła z łatwością docierały na dużą głębokość. Bajeczny krajobraz dopełniały mieniące się kryształkami minerałów skały i wiszące sople stalaktytów.

— I co, nie było warto? – zapytał z triumfem Marek.

Po czym pochylił się i poruszył wodę, zanurzając w niej dłoń. Okręgi wzbudzonej tafli zaczęły biec od dłoni Marka coraz dalej. Woda, przez swoją niesamowitą czystość, wyglądała jak poruszający się kryształ, refleksy światełek zatańczyły na ścianach biegnąc od spodu aż po sklepienie. Tysiące drobnych kryształków w skałach zaczęło mienić się jak sypnięty brokat. Światło tańczące w wodzie i na całej wysokości skał wyglądało tak, jakby ktoś potoczył kule disco. Staliśmy jak zahipnotyzowani, wpatrzeni w pokaz piękna natury.

— Nie wiem jak wy, ale ja mam zamiar się wykąpać – rzuciłem, szybko zsuwając z siebie spodnie i buty.

— Dziewczyny, jedyna okazja, rozbierać się! – rzucił Marek, który stał obok mnie już tylko w koszulce i bokserkach.

Iza i Magda spojrzały na siebie z niedowierzaniem, ale po chwili stały przy brzegu w bieliźnie. Wszyscy zanurzyliśmy się powoli w chłodnej wodzie tak czystej, że widać było dokładnie skaliste dno zbiornika. Obaj z Markiem co jakiś czas nabieraliśmy powietrza i kładąc się na brzuchu, staraliśmy się obserwować dno. Poniżej widać było dywan gęsto rozsypanych odłamków skalnych i kamieni. Przed nami, dalej i głębiej, można było dostrzec leżące na dnie jakby kryształki kwarców. Niestety, kiedy próbowaliśmy zanurkować, chłód otaczającej nas wody i głębokość nie pozwalały nawet zbliżyć się do dna.

— Cholera, nie wiedziałem, że tu jest tak głęboko – powiedział zaskoczony Marek, wynurzając się na powierzchnię.

— A co ty myślałeś, przy takiej przejrzystości wody nie zdajemy sobie sprawy z głębokości, dodatkowo woda jak soczewka zbliża obraz dna, zmieniając ocenę odległości – odpowiedziałem, kiedy wypłynąłem obok niego.

— Tu jest cudownie – szepnęła Iza, kładąc się na wodzie.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że ze względu na temperaturę wody czas naszej kąpieli się kończy, poruszając się powoli odpłynąłem trochę dalej. Patrząc na drugi brzeg, zauważyłem, że skały tworzące ściany dalszego korytarza miały ślady intencjonalnej obróbki.

Wyglądało to dokładnie tak, jakby dalsza jego część za rozlewiskiem była specjalnie poszerzona, a skały tworzące przejście ociosane ludzką ręką. Patrząc pod pewnym kątem w dalszą część korytarza, widać było przylegające do niego wnęki.

— Potrzebuję latarki, szybko – rzuciłem za siebie.

— Zaczekaj – usłyszałem głos Marka.

Magda i Iza wyszły już na brzeg czując skutki niskiej temperatury wody. Czekaając, aż trochę podeschną, podskakiwały na brzegu. Marek podpłynął do miejsca, w którym zostawiliśmy ubrania i nie wychodząc z wody sięgnął po latarki, po czym trzymając je nad głową sprawnie podpłynął do mnie. Zanim dziewczyny zdążyły cokolwiek powiedzieć, patrzyły jak odpływa.

- Marek chyba powinniście już wyjść – powiedziały za odpływającym Markiem, ale nie doczekały się odpowiedzi.
- Co jest? – zapytał, podając mi latarkę.
- Sam zobacz – powiedziałem, kierując snop światła na korytarz po drugiej stronie wody.
- Wygląda tak, jakby to wykuł człowiek – odpowiedział, mrużąc oczy i próbując wypatrzeć jak najwięcej szczegółów.
- Dokładnie, zobacz dalej, po bokach korytarza są jakieś komory.
- Cholera, za długo byliśmy w wodzie o tej temperaturze, żeby teraz wyjść na drugi brzeg. Zaczynam czuć jak nogi mi drętwieją – powiedział Marek
- Wiem, czuję to samo, musimy wracać, ale spróbujemy oznaczyć to miejsce i przyjść tu w piankach do nurkowania. Wtedy będziemy mogli sprawdzić drugi brzeg – powiedziałem, jakby automatycznie wpatrzony w ciągnący się dalej mrok.
- Tylko dziewczyny nie mogą o tym wiedzieć, nie zgodzą się na takie szaleństwo – dodał Marek.
- Czekaj, tam coś jest – powiedziałem, zbliżając się do brzegu.
- Paweł, wydaje ci się, chodź wracamy, nie czuję już nóg.

Chciałem sprawdzić kształt połyskujący silniej niż refleksy skał. Kiedy podpłynąłem, sięgnąłem na brzeg, ale źle oceniłem odległość. Nie dostałem do przedmiotu, zamiast tego zobaczyłem na wyciągniętej dłoni czerwoną plamkę. Odruchowo spojrzałem szukając źródła, wtedy zobaczyłem na ścianie korytarza małe urządzenie emitujące czerwone światło. Smuga świecąca na moją dłoń zaczęła się w ścianie i biegła prosto do mojej ręki. Szybko cofnąłem dłoń.

- Marek, widziałeś to? – powiedziałem, mając nadzieję, że przyjaciel widzi to samo co ja.

Nie było odpowiedzi. Odwróciłem się i zobaczyłem jak powoli płynie w stronę drugiego brzegu. Szybko skierowałem się za nim, czując jak ciało coraz bardziej mi drętwieje. Kiedy dopłynąłem do brzegu, wszyscy już stali i czekali na mnie, starając otrzepać się z wody. Parę minut później zakładaliśmy ubrania na wilgotne jeszcze ciała ...

\*\*\*\*\*

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, wyruszyliśmy samochodem do jaskini, jednak nieco dziwiło nas zbyt duże zainteresowanie Liviu celem naszej podróży. Byliśmy przekonani, że nie wie ani o celu naszej wizyty, ani o wypożyczeniu sprzętu. W końcu jego ciekawość wytłumaczyliśmy sobie dbałością o bezpieczeństwo swoich gości. Po krótkiej jeździe dotarliśmy ponownie na parking przed jaskinią. Podeszliśmy do drewnianego domku, w którym byli przewodnicy i kasa biletowa. Kiedy weszliśmy do środka, okazało się, że jest tam jeden z przewodników, jego kolega Artem oprowadzał właśnie grupę turystów. Rozmowa nie trwała długo, za pomocą odpowiedniej sumy pieniędzy udało się bez większych problemów przekonać przewodnika, aby wpuścił nas teraz, przed powrotem zwiedzającej grupy. Warunkiem było tylko zabranie przez nas małych nadajników i niedużych krótkofalówek, które mieliśmy trzymać włączone i zgłaszać się, informując o ewentualnych kłopotach. Mając w plecakach pianki do nurkowania weszliśmy do środka.

Wiedzieliśmy którądy się kierować, dlatego dojście do korytarza, w który wczoraj skręciliśmy nie było problemem. Przed wejściem do wody odpięliśmy od pianek pasy z obciążnikami. Pozbawione ich pianki świetnie zwiększały wyporność. Tym razem wodę pokonaliśmy szybciej i sprawniej, od razu kierując się na drugi brzeg. Wiedząc o czujnikach staraliśmy się wypatrywać ich w skalnych ścianach i omijać je w taki sposób, aby nie przerwać wiązki biegnącej do przeciwległej ściany przez całą szerokość korytarza. W pewnym momencie, i tak dosyć szerokie przejście rozchodziło się jeszcze szerzej, teraz bez problemu mogły iść koło siebie dwie osoby. Szliśmy parami, jak na razie szczęśliwie, mijając rozmieszczone co parę metrów czujniki. Nie wiedzieliśmy jednak o kolejnych, termicznych umieszczonych przy stropie ...

\*\*\*\*\*

Idąc zauważyliśmy przed sobą dwie duże wnęki w skałach. Tak jak poprzednie, znajdujące się na końcu korytarza, były puste, tak te wydawały się jakby zamurowane. Oglądając je dokładnie szukaliśmy potwierdzenia naszych domysłów, sprawdzaliśmy czy nie ma możliwości ich otwarcia. Nagle, będąc najbardziej z tyłu, usłyszałem dźwięk przypominający kroki po zgrzytających kamieniach, odgłos był ledwo słyszalny, ale wydawało mi się, że zbliża się dosyć szybko.

- Słuchajcie albo mi słuch wariuje, albo ktoś tu do nas idzie, wyraźnie słyszałem kroki – powiedziałem szeptem do przyjaciół.
- Przecież ominęliśmy wszystkie czujniki, może któryś z przewodników postanowił iść za nami – zapytał Marek.
- Nie sądzę, kiedy z nim rozmawialiśmy mówił, że dziś jest ich tylko dwóch i nie może iść, nie zostawiając nikogo przy wejściu. Poza tym, miał tam również sprzęt pozwalający w razie kłopotów zaalarmować ratowników, więc raczej wykluczone, żeby szedł teraz za nami – powiedziałem.
- Gdyby faktycznie przewodnik chciał udać się za nami na pewno skontaktowałby się najpierw przez krótkofalówkę – dodała przytomnie Iza.
- Dziewczyny, wy zostajecie tu w tej dużej wnęce, jest na tyle głęboka, że nie będzie was widać dopóki ktoś do niej nie podejdzie, a my z Markiem idziemy sprawdzić kto za nami idzie i zgaście te latarki – powiedziałem szybko, oglądając ściany skały znajdujące się niedaleko.
- Paweł, jeśli ktoś został zaalarmowany czujnikami i pilnują wnętrza korytarza, to cholera wie co tu kryją, musimy jakoś sprawdzić kto się zbliża – usłyszałem szept Marka, kiedy kierowaliśmy się w stronę, z której przyszliśmy.
- Widziałem tu niedaleko ścianę, która miała przejście z obu stron, takie że moglibyśmy się za nią schować i poczekać na przybysza, po czym wyjść za jego plecami – powiedziałem.
- Spróbujmy, może się uda, odeszliśmy na tyle daleko od dziewczyn, że powinniśmy mieć szansę przekonania się kto za nami idzie, zanim je ktoś zobaczy.

Faktycznie, tuż przed nami ściana tworzyła jakby dosyć szeroką podporę stropu, którą można było obejść z obu stron. Schowani za nią czekaliśmy, słysząc kroki coraz bliżej i coraz wyraźniej. Po chwili zobaczyliśmy ciemne kształty dwóch poruszających się sylwetek, nie musieliśmy długo czekać, by się zbliżyli. Zobaczyliśmy dwóch mężczyzn mających założone noktowizory i trzymających w rękach spore, gotowe do strzału kusze, przy paskach wisiły przyczepione krótkofalówki. W głowie zaświtały mi najgorsze myśli. Profesjonaliści, którzy mają nas odnaleźć bez trudu dzięki noktowizorom, kusze automatycznie kojarzyły mi się z potrzebą cichego zabójstwa. Uruchomiona wyobraźnia podsuwała coraz gorsze obrazy, ale równocześnie przez głowę przemknęło mi pytanie czemu mają zamiar nas zabić.



- Marek, musimy ich zatrzymać, nie mogą dojść do dziewczyn – wyszeptałem, kiedy obaj minęli skałę, za którą staliśmy.
- Mają nas wszystkich – szepnął przerażony Marek.
- Ja biorę jednego, ty drugiego, będąc za nimi mamy przewagę – rzuciłem, wychylając się zza skały.

Kolejne wypadki potoczyły się w błyskawicznym tempie. Wychodząc chwyciłem z ziemi jeden z kamieni i z impetem, wykorzystując rozpęd ciała rzuciłem się na jednego z nich, uderzając go w tył głowy. Kamień odskoczył od czaszki z pustym, głuchym dźwiękiem, poczułem jak ciało mężczyzny wiotczeje i osuwa się pod moimi nogami. Marek chcąc zrobić dokładnie to samo spadał z wysokości na drugiego mężczyznę, który w tym samym czasie próbował się odwrócić. Niestety, cios Marka sięgnął tylko ramienia atakowanego, który co prawda przewrócił się z jękiem na ziemię, ale nie upuścił kuszy szybko oddając strzał bez mierzenia. Widziałem jak grot zagłębia się w brzuchu pochylonego nad nim Marka, który postrzelony, zaczął składać się wpół, trzymając rękoma miejsce trafienia. Odruchowo podniosłem kuszę mężczyzny leżącego przede mną i w trakcie podnoszenia nacisnąłem spust, celując w czarną plamę odwracającą się w moją stronę. Przeciwnik ugodzony w pierś wyrzucił ręce do góry i upadł w groteskowej pozycji. Zdażył wystrzelić, ale upadając zmienił kierunek, strzała minęła mnie rozrywając jedynie nogawkę pianki na wysokości łydki. Nie sprawdzając czy żyją, skoczyłem do Marka, który dysząc ciężko trzymał się za brzuch. Na poruszającej się od urywanego oddechu piance widziałem powiększającą się plamę ciemnej cieczy ...

\*\*\*\*\*

Podbiegłem do niego i łapiąc ramieniem za szyję odruchowo zamknąłem drzwi, przesuając masywny zamek. Ludzie, którzy wypadli z Jeepów musieli nie widzieć kto stał przy drzwiach, bo od razu usłyszałem grzechot kul odbijających się od barierki przed domem i głuche uderzenia pocisków zagłębiających się z impetem w drewnie. Liviu szarpał się starając wyslizgnąć się spod mojego uścisku, jednak byłem młodszy i silniejszy, więc tylko rzucał się bezradnie.

- Uciekajcie do drugiej części domu albo przez ogród – krzyknąłem do przerażonych dziewczyn, mając nadzieję, że nie zdążyli jeszcze nas okrążyć.

Coraz częstszy odgłos pocisków potwierdzał, że atakujący byli już przy drzwiach. Kiedy kule zaczęły rozwarstwiać drewno i przebijać się na drugą stronę, zacząłem wchodzić na schody ciągnąc ze sobą właściciela. Nagle poczułem szarpnięcia ciała Liviu, pociski przebiły drzwi i sięgnęły jego pleców. Zasłoniłem się jego ciałem, czując jak trafiane drga w konwulsjach. Pchnąłem bezwładnego w dół i uciekłem na górę. Nie zdążyłem zobaczyć ilu było napastników, ale sądząc po dwóch niedużych terenówkach musiało być ich maksymalnie czterech.

— Paweł, tędy – usłyszałem głos Izy w jednym z korytarzy.

Na szczęście druga część domu, normalnie zamknięta, była teraz dostępna. Wbiegłem do pomieszczenia zamykając za sobą drzwi. Nigdzie nie było też widać żony Liviu, ale nie było czasu zawracać sobie głowy tą kwestią.

— Jezu, Paweł co się dzieje? – Iza patrzyła na mnie przerażona.

— Nie wiem, pojawili się nagle, pewnie to koledzy tych z jaskini, strzelali na oślep, zabili starego – mówiłem szybko, rozglądając się po pokoju i szukając w myślach sposobu obrony.

— Tutaj – usłyszeliśmy głos Magdy, która przypadkowo odkryła zasłonięte wcześniej kolejne, otwarte drzwi.

Zmieniając pomieszczenie zamykaliśmy wejście w opuszczanym, mając nadzieję na spowolnienie pościgu uzbrojonych mężczyzn. Wpadając do następnego pokoju słyszeliśmy dobijanie się napastników do drzwi tego, w którym byliśmy przed chwilą.

— Paweł, tu jest broń – rzuciła Iza.

Staliśmy przy dużym biurku z leżącym na nim laptopem, obok w szafie wisiało parę pistoletów i granaty. Łokciem zbiłem szybę w drzwiach zamkniętej witryny i łapiąc dwie sztuki broni, jedną podałem Izie. Wiedziałem, że będzie przynajmniej wiedziała jak się z nią obchodzić. Nieraz jeździliśmy na strzelnicę, dla zabawy strzelając do tarcz z różnej broni. W najsmielszych przypuszczeniach nie sądziliśmy, że ta umiejętność może się przydać w takiej sytuacji.

Na podłodze widać było prawie niedostrzegalny obrys kłapy, zapewne prowadzącej do piwnicy, za biurkiem w rogu pokoju było ledwo widoczne kolejne pomieszczenie. Otwierając drzwi poczułem, że są znacznie bardziej masywne niż poprzednie, były tak ciężkie jakby były zbrojone. Wchodząc do środka złapałem jeszcze granat i wsunąłem do kieszeni spodni.

— Schowamy się tu, mam pomysł – powiedziałem.

Iza i Magda weszły do pomieszczenia, w którym było duże okno i przygotowane łóżko. Wróciłem na chwilę do pokoju, z którego wyszliśmy i uchylając klapę w podłodze wsunąłem w szparę wzięty z biurka ołówek. Wetknąłem go tak, żeby nie było go widać, ale jednocześnie, żeby szpara kłapy wyraźniej się odcinała na tle podłogi i wróciłem do dziewczyn. Słyszeliśmy jak z trzaskiem i hukiem pojedynczych wystrzałów zostały sforsowane kolejne drzwi i atakujących mężczyzn dzieliło od nas już ostatnie pomieszczenie. Zyskaliśmy parę cennych chwil, może nie zorientują się od razu, że jest tu jeszcze jedno przejście. Myliłem się, niemal słysząc strzały mierzone zapewne w okolice zamka i klamki, Iza podchodząc do okna zerknęła na dół.

— Możemy ryzykować nie jest wysoko – rzuciła za siebie.

— Nie, zaczekajcie, mogli podejść od tyłu – poleciłem.

W tym momencie futryna wyleciała z hukiem, mężczyźni wpadli do pomieszczenia i nieświadomie popełnili jeden błąd, od razu zauważyli szparę kłapy piwnicy zakładając, że uciekając w panice, tam się schowaliśmy. Na to liczyłem, jeden z mężczyzn podnosił klapę, a pozostali patrzyli na poszerzający się ciemny otwór prowadzący w dół. W tym samym momencie uchyliłem bezszelestnie drzwi pokoju, w którym byliśmy ukryci i wyciągając zawleczkę potoczyłem odbezpieczony granat po podłodze, zamykając jednocześnie wejście. Nie mieli czasu na reakcję, potężny huk wstrząsnął pomieszczeniem, w uszach dzwoniło echo wybuchu, jak z oddali słyszałem mocno przytłumione krzyki i jęki rannych mężczyzn. Wyjrzałem i zobaczyłem tylko plataninę porozrywanych ciał i wszechobecną krew. Teraz mogliśmy uciekać oknem, jeśli nawet koledzy atakujących obstawili tyły domu, to słysząc detonację na pewno ruszyliby do środka sprawdzić co się dzieje.

— Iza, sprawdź ogródek – poleciłem.

Iza bez słowa dyskretnie patrzyła przez okno, starając się wypatrzeć zagrożenie w ogrodzie.

— Czysto – rzuciła.

— Zaczekajcie chwilę – powiedziałem, nasłuchując odgłosów po drugiej stronie drzwi.

Wokół panowała cisza, przerywana coraz słabszymi jękami konających w drugim pomieszczeniu napastników. Na podłodze obok łóżka zobaczyłem dużą, metalową skrzynkę, na której widniał napis „Magazyn jaskini Meziad - Do sprawdzenia”. Okazała się zamknięta, nie chciałem tracić czasu na włamywanie się do niej, okucia zdradzały, że wzmocniona mogłaby okazać się zbyt trudna do otwarcia.

— Zaczekajcie tu – powiedziałem do dziewczyn nagle olśniony.

Ostrożnie przechodząc do pomieszczenia, w którym przed chwilą zdetonowałem granat, zbliżyłem się do osmolonego biurka. Potężny drewniany mebel był przewrócony i oparty pod kątem o znajdującą się przy nim ścianę. Drewno blatu było poszarpane i gdzieś sterczały duże drzazgi. Podeszedłem z drugiej strony biurka starając się nie patrzeć na ciała leżące na podłodze, przez buty niemal czułem jak stąпам po lepkiej krwi. Tak jak myślałem, w jednej z szuflad znajdował się klucz, zabrałem go chwytając pospiesznie również zniszczonego laptopa, który zsunął się po blacie przewracającego się biurka i leżał pomiędzy meblem a ścianą. Wróciłem do dziewczyn i pochylając się otworzyłem skrzynię. Wewnątrz były dokumenty i przedmioty przedzielone kartkami z nazwami państw, przeglądając zauważyłem kartkę z napisem „Poland” i wyciągnąłem zawartość. Nie było czasu na dokładne oględziny, ale na pierwszy rzut oka wyglądało to na wojskowy stary chlebak. Zagląając do środka wyciągnąłem kopertę ze zrobionym odręcznie napisem „Rok 1812”.

— Paweł, co ty robisz? – zapytała zdumiona Iza ...

\*\*\*\*\*

Kowal dodzwonił się do mnie, kiedy po raz czwarty próbowałem skontaktować się z Jackiem. Zaniepokojeni z Izą rozważaliśmy podróż do Krakowa, natarczywy dźwięk telefonu przerwał naszą rozmowę.

- Słucham? – powiedziałem zirytowany.
- Kowal z tej strony, chciałbym z wami pilnie porozmawiać, to naprawdę ważne, za ile moglibyście być z Izą u mnie w biurze? – zapytał.
- Maksymalnie za trzydzieści minut – odpowiedziałem nieco zdziwiony nagłą potrzebą spotkania, słysząc zdenerwowany głos Roberta.
- W takim razie czekam, pospieszcie się – odparł, kończąc rozmowę.
- Nie wiem co się stało, ale Kowal chce, żebyśmy pilnie przyjechali do niego do biura – odezwał się do Izy, która słysząc z rozmowy tylko moje słowa, patrzyła na mnie zaskoczona.

Zebraliśmy się sprawnie, po drodze do biura Roberta nadal bezskutecznie próbowałem dodzwonić się do Jacka.

\*\*\*

Iza słyszała całą rozmowę przez głośniki samochodu, spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

- Cholera, coś się musiało stać – powiedziałem do Izy, zapisując w telefonie numer, z którego dzwonił Jacek.
- Dla mnie też ta rozmowa przebiegała dziwnie, ewidentnie nie mógł lub nie chciał rozmawiać. Nie wierzę w tą nagłą służbową sprawę – powiedziała.
- Też tak to odebrałem, najgorsze, że nie mamy z nim kontaktu, nie wiemy gdzie jest i możemy tylko czekać, aż zadzwoni – powiedziałem, parkując pod biurowcem Kowala – zorientujemy się czego od nas chce Robert i zaraz po rozmowie skontaktujemy się z żoną Jacka, może ona będzie coś wiedziała – dodałem.
- Chodź, porozmawiamy z nim, w tej sytuacji szkoda czasu – rzuciła Iza, otwierając drzwi samochodu.

Doskonale znając drogę, po chwili wysiedliśmy z windy na piętrze, gdzie znajdował się gabinet Roberta. Wokół było pusto, drzwi do jego gabinetu były otwarte. Kiedy podszedłem, chcąc zajrzeć do środka, w drzwiach pojawiło się nagle czterech mężczyzn.

- Dziękujemy za szybkie przybycie, jesteśmy z policji z Wydziału do Spraw Przystępczości Zorganizowanej – powiedział jeden z nich, pokazując nam swoją odznakę.
- Musimy z państwem porozmawiać – odezwał się drugi, widząc jak zaskoczony oglądam policyjną legitymację.
- W jakiej sprawie? – zapytałem, podnosząc wzrok.
- Tego dowiedzą się państwo za chwilę, oczywiście nie są państwo o nic oskarżeni i nie będzie to przesłuchanie, chcemy jedynie potwierdzić pewne informacje. Zdaję sobie sprawę, że działamy dosyć niesablonowo, ale czasem musimy uciekać się do takich metod. Szczególnie, jeśli tak ważna jest dyskrecja i czas – poinformował policjant.
- Przyznaję, cała ta sytuacja jest dość nietypowa, ale chcemy państwu tylko zadać parę pytań. Ze względu na konieczność potwierdzenia pewnych informacji, chcielibyśmy przeprowadzić rozmowy z każdym z państwa oddzielnie, oczywiście jeśli to nie będzie problem – dodał drugi z policjantów.
- Skoro już tu jesteśmy – odezwała się Iza.

Mimo zaskoczenia całą sytuacją zgodziliśmy się na rozmowy. Dwóch policjantów gestem wskazało mi znajdującą się obok salę konferencyjną, a pozostali poprosili Izę do gabinetu Kowala.

- Co pan wie o udziale Roberta Kowala w przeprowadzanych online licytacjach? – zapytał bez wstępów policjant, kiedy tylko usiadłem na jednym z krzeseł.
- Nie bardzo wiem o jakie licytacje panu chodzi? – zapytałem, udając głupiego.
- Naprawdę sądzi pan, że nie możemy tej rozmowy przeprowadzić w inny sposób? Wiemy o państwa udziale w jednej z nich. Na razie chcieliśmy odbyć tą rozmowę dyskretnie i sprawnie, licząc na państwa zrozumienie i pomoc. Jak widzę, nie możemy liczyć ani na jedno, ani na drugie. W takim razie jesteśmy zmuszeni zmienić podejście. Proszę mi wierzyć, mając dowody państwa udziału w aukcji, bez najmniejszego trudu jesteśmy w stanie oskarżyć państwa o współudział.

Natomiast utrudnianie śledztwa i podawanie nieprawdziwych informacji jest karalne, ale z tego zapewne zdaje pan sobie sprawę – poinformował policjant.

- Właściwie niezbyt wiele, ale wiem, że są co jakiś czas przeprowadzane. Niestety nie mam pojęcia kto bierze w nich udział, poza Kowalem oczywiście. Wiem tylko tyle, że wystawiane na nich są dosyć cenne przedmioty. Skąd je mają, kto organizuje i prowadzi te licytacje, naprawdę nie wiem – powiedziałem, nie widząc sensu dalszych prób przekonania ich o mojej niewiedzy.
- Skąd pan o tym wie i dlaczego braliście udział w aukcji? – zapytał.

W tym samym czasie Iza nie doczekała się żadnych pytań. Kiedy tylko weszła do gabinetu Roberta, idący za nią mężczyzna złapał ją od tyłu, unieruchamiając jednym ramieniem, a drugą ręką zatykając jej usta materiałem nasączonym środkiem usypiającym. W pierwszej chwili próbowała uwolnić się od napastnika, jednak jego uścisk był zbyt silny. Trzymając wciąż rzucającą się Izę, mężczyzna odsunął się od drzwi gabinetu, żeby nie mogła się o nie zaprzeć. Niedługo poczuła, jak opuszczają ją siły, gabinet zaczął wirować wokół i zaczęła tracić orientację. Środek usypiający działał szybko i w ciągu następnych minut, została sprawnie wyniesiona z gabinetu przez obu mężczyzn. Kiedy niosąc ją zeszli do podziemnego garażu i umieścili na tylnym siedzeniu samochodu, jeden z mężczyzn wysłał krótkiego SMSa, po czym samochód z piskiem opon ruszył i wyjechał z parkingu. Leżący na stole telefon jednego z policjantów odezwał się krótkim dźwiękiem, mężczyzna spojrzął na ekran. *„Wszystko się udało bez problemów, już ruszyliśmy.”*

- Proszę odpowiedzieć – ponaglił jednocześnie skinieniem głowy, dając znak koledze.
- Czy moglibyście dać spokój Izie i rozmawiać tylko ze mną, naprawdę nie mam zamiaru niczego ukrywać – powiedziałem, widząc porozumiewawcze spojrzenia mężczyzn, martwiąc się jednocześnie o Izę.
- Niezbędne jest potwierdzenie tych informacji, poza tym już na początku naszej rozmowy mieliśmy dowód, że jednak nie chce pan z nami współpracować tak, jak teraz zapewnia – odezwał się sucho policjant.
- Skoro nie jesteśmy o nic podejrzani i nie jest to przesłuchanie to chyba nie może być przeprowadzane w taki sposób – odezwałem się, próbując cokolwiek ugrać.

Kompletnie nie ufałem mężczyźnie i ze względu na dosyć specyficzny sposób przebiegu całej rozmowy, nie chciałem już nic więcej mówić.

- Nie ma problemu, niniejszym informuję pana, że jest pan podejrzany o udział w licytacjach, mających na celu nielegalny obrót cennymi artefaktami. Zabieramy pana. Skuj go – powiedział, zwracając się do kolegi.
- Dobrze, już spokojnie. Odpowiem na wasze pytania, to nie będzie potrzebne – rzuciłem do policjantów, czując jak zapinają mi kajdanki na nadgarstkach.
- Przykro mi, miał pan swoją szansę, teraz dokończymy u nas, w bardziej formalny sposób. Biorąc pod uwagę zarzuty, to już nie będzie rozmowa, a przesłuchanie. Chciałby pan może skontaktować się ze swoim adwokatem? – zapytał.
- Nie – odpowiedziałem, kiedy wyprowadzali mnie z sali konferencyjnej.

W głowie miałem zamęt, nie mogłem zebrać myśli. Może jednak tylko straszą z tymi zarzutami, skoro wiedzą o udziale w aukcji, muszą o tym wiedzieć od Kowala, więc może zdają sobie sprawę, że celem było zaszkodzenie Syndykatowi. Umieścili mnie na tylnym siedzeniu samochodu i wyjechaliśmy z parkingu.

- Co z Izą? – zapytałem.
- Nic, współpracuje znacznie chętniej, po rozmowie wróci spokojnie do domu – usłyszałem w odpowiedzi.
- Chciałbym się z nią skontaktować – powiedziałem.
- Na razie nie jest to możliwe, ze względu na ryzyko uzgodnienia zeznań, po przesłuchaniu będzie pan mógł się z nią skontaktować – odpowiedział jeden policjantów.

W ciągu następnych kilkunastu minut wyjechaliśmy z miasta, jadąc przez jedną z podwarszawskich miejscowości.

- Gdzie jedziemy? Pierwszy raz widzę, żeby trzeba było wyjeżdżać z Warszawy w celu przesłuchania – rzuciłem, rozglądając się przez szyby i próbując zorientować się gdzie jesteśmy.



- Niedługo dotrzemy do jednej z siedzib naszego Wydziału, naprawdę mogliśmy to załatwić inaczej, ale skoro nie chce pan współpracować, nie mamy innego wyjścia – usłyszałem.
- Dobrze, powiem wam co wiemy, ale dopiero kiedy przekonacie mnie, że faktycznie jesteście z policji – odezwałem się, chcąc zainteresować ich sprawą z Syndykatem. W końcu i tak chcieliśmy zebrać dowody, żeby przedstawić je policji, a jeśli byli z Wydziału do Spraw Przeszłości Zorganizowanej, byli właściwymi ludźmi.

Nagle zadzwonił telefon jednego z policjantów, usłyszałem jak w krótkiej rozmowie potwierdza tylko przekazywane mu polecenia. Parę razy przytaknął i odpowiadając na pytania powiedział krótko „nie, jeszcze nie wszystko”.

- Ma pan szczęście, otrzymaliśmy od pani Izy wystarczające informacje, nie ma potrzeby przesłuchania – rzucił, odwracając się w stronę tylnego siedzenia.

Zatrzymali nagle samochód, wyciągnęli mnie na zewnątrz i rozkuli.

- To by było na tyle, jest pan wolny – powiedział mężczyzna.
- Jak to na tyle, może byście mnie tak do cholery odwieźli – odezwałem się zdziwiony całą sytuacją.
- Nie było chęci współpracy z pana strony, więc i podwózki nie będzie – powiedział jeden z policjantów – a i może pan składać skargę jeśli pan chce – rzucił, wsiadając i zamykając drzwi samochodu.

Stałem i próbowałem się dodzwonić do Izy, niestety jej telefon nie odpowiadał. Zakląłem, słysząc tylko automatyczną odpowiedź „abonent jest poza zasięgiem”. Próbowałem jeszcze zadzwonić pod numer, z którego dziś dzwonił Jacek, ale również bez skutku ...

\*\*\*\*\*

Po chwili, na razie nie widząc żadnej możliwości pomocy Izie, siedzieliśmy załamani próbując dalej analizować możliwości. Mniej więcej po godzinie bezskutecznych dywagacji odezwał się mój telefon, spojrzałem na ekran, przychodzący SMS był z numeru prywatnego. Odruchowo przeczytałem wiadomość „*Wciąż nie mogę rozmawiać, ale odezwę się. Max*”.

- To wiadomość od Maxa – powiedziałem, nie podnosząc wzroku. „*Wiem o Kowalu, musisz mi pomóc odnaleźć Izę*” – odpisałem odruchowo.
- Pokaż co napisał – odezwał się Jacek, zaglądając w ekran mojego telefonu – mogłeś jednak przemyśleć odpowiedź – podsumował po przeczytaniu wiadomości.

Nie musieliśmy długo czekać na odpowiedź, już po chwili ponownie krótki dźwięk sygnalizował przychodzącą wiadomość. W pośpiechu odczytałem treść SMSa, zawierał informacje z adresem znajdującym się w podwarszawskim Konstancinie i numerem pokoju.

- Mam adres, dawaj laptopa – rzuciłem z przejęciem do Jacka. Po chwili wpisywaliśmy dane w internetową mapę. Zobacz, to jakaś klinika na uboczu w lesie, przełączając na widok terenu obejrzelśmy dokładnie budynki i okolicę.
- Zdajesz sobie sprawę, że musimy tam wejść i ją zabrać – powiedziałem.
- Zastanówmy się lepiej, jak włamiemy się do kliniki – odparł Jacek, dla którego wydobyć stamtąd Izę było równie oczywiste.

Najpierw weszliśmy na główną stronę kliniki, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Były tam informacje reklamujące klinikę, jako placówkę oferującą liczne zabiegi i zapewniającą ekskluzywny pobyt swoim pacjentom. Oczywiście, nie było tam żadnych informacji związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa pacjentom, jak przykładowo monitoring. Jednak musieliśmy to zakładać, obecnie praktycznie każda szanująca się firma posiada system kamer. Na pewno przejścia pomiędzy korytarzami otwierane były na karty magnetyczne, co nie ułatwiało całej sprawy. Analizując każde z opublikowanych zdjęć budynku i jego wnętrza, szukaliśmy ewentualnych kamer i innych zabezpieczeń. Niestety fotografie pod tym względem nie okazały się pomocne.

- Bez wstępnej obserwacji się nie obejdzie – odezwałem się do pochylonego nad ekranem Jacka.
- To na pewno, Paweł nie ma na co czekać, masz lornetkę? – zapytał nagle.
- Akurat mam, czasem z Izą próbowaliśmy podglądać zwierzęta w pobliskim lesie, znaleźliśmy ambonę należącą do miejscowego koła łowieckiego, z której czasem obserwowaliśmy – przypomniałem sobie.

— Znajdź ją i jakieś ciepłe ciuchy dla mnie, ja zajmę się prowiantem, zakładam, że możemy tam spędzić noc – przytomnie komenderował Jacek.

Tak, potrzebowałem go w tej chwili, potrafił bardziej trzeźwo ocenić całą sytuację. W ciągu następnych trzydziestu minut zorganizowaliśmy się i byliśmy gotowi do wyjścia. Szybko dojechaliśmy pod adres wskazany przez Maxa, samochód zostawiliśmy zaparkowany parę ulic przed terenem kliniki i dalej poszliśmy pieszo. Obchodząc budynki od tyłu i przechodząc lasem, dotarliśmy do ogrodzenia. Leżeliśmy w zaroślach z twarzami przy siatce, próbując wyłapać jak najwięcej szczegółów związanych z zabezpieczeniami i szukając ewentualnej drogi wejścia.

— Jak byłem mały, chciałem być komandosem – odezwał się nagle Jacek, podnosząc lornetkę do oczu.

— Kretyn, trzeba było sobie jeszcze wystrugać karabin, dawaj – powiedziałem, odrywając lornetkę od jego oczu.

— Widziałeś te kamery? – zapytałem Jacka – są umieszczone tu z tyłu budynku, kąt ich widzenia zachodzi na siebie, więc nie wejdziemy tędy niezauważeni.

— Uhm, poza kamerami nie widzę innych zabezpieczeń – dodał Jacek.

— Przecież to klinika, czego się spodziewałeś, pułku wojska pilnującego budynku? Zobacz tam – powiedziałem, wskazując Jackowi kierunek palcem.

Około piętnastu metrów od ogrodzenia tylne drzwi od budynku otworzyły się i pracownik wypchnął przez nie duży, piętrowy wózek wypełniony czarnymi workami.

— Pewnie wymiana pościeli i innych brudów, może dałoby się to wykorzystać – odezwał się Jacek.

Patrzyliśmy, jak przepychany tuż przed nami wózek, zmierza do niedużego budynku obok, pracownik wprowadził go uchylając drzwi. Po paru minutach wyszedł już z pustym.

— Nie no, nie wierzę, to ma być tak łatwe – wyrwało się Jackowi.

- A coś ty myślał, to normalna placówka medyczna, nie przewidują tu porwań, wtargnięć i innych rozbojów. Chodź sprawdzimy, czy obiektywy kamer mogą sięgać za ten budynek.
- To nie będzie tak, jak w filmach szpiegowskich? – z udawanym rozżaleniem powiedział Jacek.
- Naprawdę w końcu dostaniesz – rzuciłem, wstając i ostrożnie skradając się na tyły budynku, w którym składowano brudną pościel.
- Zobacz jesteśmy zasłonięci, chodź przejdziemy przez siatkę i chociaż sprawdzimy, jakie miałibyśmy możliwości wykorzystania tego składu brudów – odezwałem się do Jacka.
- Przyjmujemy pseudonim „komando foki”? – zapytał nagle Jacek, patrząc jak wspinam się na ogrodzenie.
- Pierdzielę, ty tu zostajesz, nie zabieram cię – szepnąłem w dół.
- Dobra, już dobra – mruczał pod nosem Jacek, podciągając się na ogrodzenie.

Po zeskoczeniu z siatki obeszlśmy ostrożnie budynek, wchodząc do środka przez nie zamknięte drzwi. W środku był faktycznie skład zużytej pościeli, na niedużych metalowych regałach były porozkładane zawiązane worki. Nie zwróciliśmy uwagi, że pracownik zostawił otwarte drzwi. Kiedy byliśmy w środku, ponownie kierował się w stronę budynku. Niemal w ostatniej chwili usłyszeliśmy terkoczący dźwięk kółek wózka toczących się po chodniku.

- Jacek, ktoś tu idzie – szepnąłem.

Odruchowo schowaliśmy się, kucając za regałami znajdującymi się dalej od wejścia. Uchyliły się drzwi i patrząc między workami zobaczyliśmy wtaczający się wózek. Pracownik stanął z jego drugiej strony tak, że teraz widzieliśmy jego plecy. Nie zdążyłem zareagować, kiedy Jacek poderwał się nagle i chwytając sporą ścierkę rzucił się na pracownika kliniki. Doskakując do niego od tyłu, zablokował mu ruchy ramieniem, jednocześnie przyciskając mu ścierkę do ust.

- Pomóż mi do cholery, nie utrzymam go – powiedział.

Poderwałem się i po chwili pomogłem Jackowi unieruchomić pracownika serwisu sprzątającego. Znajdujące się przed nami worki były związane u góry tasiemkami, obok przy wózku wisiało ich więcej. Sięgnąłem jedną ręką odczepiając je od wózka. W pośpiechu zacząłem związywać dłonie mężczyźnie, o dziwo uporaliśmy się z tym dosyć sprawnie i po chwili pracownik kliniki leżał przed nami ze związanymi rękoma i nogami. Dodatkowo taśmy zawiązane wokół głowy przytrzymywały prowizoryczny knebel ze ścierki.

- Ty komando foka, pogięło cię już do reszty, po cholere to robiłeś, co teraz? – zapytałem, patrząc na nasze dzieło.
- Teraz idziemy za ciosem, wchodzimy do środka z tym wózkiem – odezwał się Jacek.
- Tylko zostawmy te worki, ten facet jest jeden, a nas dwóch przynajmniej będziemy mogli się schować za wózkiem przed kamerami – powiedziałem.

Jacek pochylił się i oderwał identyfikator mężczyźnie leżącemu na podłodze.

- Pewnie niedługo zaczną go szukać – szepnąłem do Jacka, pchając wózek.
- Dlatego musimy się pospieszyć.

Po skupionej minie Jacka i błysku w jego oczach mogłem przysiąc, że jemu naprawdę podobają się takie przygody. Bez najmniejszych problemów weszliśmy do środka.

- Ciebie to naprawdę bawi, matko zadaję się z wariatem – powiedziałem szeptem, kiedy dopchaliśmy wózek do drzwi i byliśmy już poza zasięgiem kamer.
- Trochę – wyrwało się Jackowi.
- Jezu – westchnąłem, przewracając oczami – nawet nie wiemy, gdzie iść dalej i gdzie znajduje się pokój numer dziesięć – dodałem.
- Wszędzie widzisz problemy – odezwał się Jacek – musimy kierować się po numerach pokoi.
- Zakładam, że znajdują się na górze – powiedziałem, patrząc na schody przy końcu korytarza, w którym się znajdowaliśmy.

Doszliliśmy do końca holu, mijając po drodze drzwi z napisami „magazyn A” i „magazyn B”. Wchodząc na schody rozejrzeliśmy się, ale nie widząc nikogo wokół i nie słysząc żadnych odgłosów, powoli weszliśmy na pierwsze piętro. Wokół nic nie przypominało placówki medycznej, wystrój kojarzył się raczej z hotelem. Podchodząc do masywnych drzwi, zobaczyliśmy małe urządzenie umieszczone przy framudze, Jacek odruchowo sięgnął po zabrany wcześniej identyfikator i przytknął go do czytnika. Usłyszeliśmy krótkie kliknięcie zamka i zapaliła się zielona dioda sygnalizująca odblokowanie drzwi. Kiedy weszliśmy do środka zobaczyliśmy rząd pokoi ciągnących się wzdłuż korytarza. Oznaczenia na drzwiach zaczynały się od numeru piętnaście, więc niedaleko musiał być pokój, w którym znajdowała się Iza. Mniej więcej w połowie korytarza zauważyliśmy światło i jakby kontuar recepcji. Nie przewidzieliśmy tego, działaliśmy zbyt szybko.

— Wracamy? – zapytałem szeptem Jacka.

W tym samym momencie zza kontuaru wyjrzała głowa kobiety.

— Co panowie tu robią? – zapytała zaskoczonym głosem ...

\*\*\*\*\*

— Magazyny znajdują się tutaj i tutaj – wskazał palcem Max, podchodząc do stołu stojącego na środku pomieszczenia.

— Iza muszę kończyć, naprawdę niedługo wracamy – powiedziałem, zainteresowany lokalizacją drugiego magazynu. Odnalazłem wskazane przez Maxa miejsca na mapie wyświetlanej w telefonie, zaznaczając obie lokalizacje w urządzeniu.

— Dobra panowie, na dziś chyba wystarczy, jest naprawdę późno – odezwał się Rafał – oczywiście nocne dyżury mamy ustalone – powiedział, zwracając się do pozostałych policjantów.

Max przygotował rozkładaną sofę dla Rafała, który miał spać na dole, obok na rozkładanym fotelu, jeden z jego kolegów. Przynieśli z samochodu ubrania, prowiant i dodatkową broń.

— No co? Lubimy być samowystarczalni – poinformował Rafał, kiedy Max spojrzał ze zdziwieniem na wnoszone torby.

Dwaj pozostali policjanci podzielili się i jeden pełnił dyżur na poddaszu, skąd miał świetny widok na okolicę, drugi patrolował teren przed samym domem. Ja z Jackiem i Maxem położyliśmy się na pierwszym piętrze. Wszyscy zasnęli szybko, jedynie czuwający policjanci mieli się zmieniać co dwie godziny.

- Myślisz, że naprawdę ktoś może nas znaleźć na tym zadupiu? – odezwał się policjant, siedzący na poddaszu.
- Wątpię, tu chyba nawet wilki nie przychodzą – odezwał się kolega, stojący przed domem.
- Kupiłeś w końcu ten nowy samochód, ten o którym nam ostatnio opowiadałeś? – zapytał mężczyzna, nie odrywając lornetki od oczu, z góry omiatał okoliczny las.
- Oglądałem go, kolejny cwaniak, który złożył jeden z dwóch i chciał sprzedać jako bezwypadkowy. Naprawdę mam już dosyć takiego szukania, zastanawiam się nad wzięciem kredytu i kupnem nowego, mam po dziurki w nosie takich okazji – odpowiedział.

Nagle, w ciemności na poddaszu błysnęła mała lampka stojącej obok radiostacji. Max udostępnił ją policjantom, korzystał z niej do kontaktów ze Strażą Graniczną Bieszczadzkiego Parku. Było to nie tylko dobre źródło informacji o zbliżających się zmianach pogody, ale dzięki urządzeniu miał też najświeższe informacje odnośnie tego, co się dzieje w okolicy. Dodatkowo, w razie jakichkolwiek problemów, łatwo mógł ich powiadomić. Uprzedził ich też o przyjeździe policji i możliwości korzystania przez nich z radiostacji. Lampka migąła natrętnie czerwonym światłem, mężczyzna sięgnął do urządzenia, podnosząc niedużą „gruszkę” do ust.

- Domek na wzgórzu, zgłaszam się – powiedział szeptem.
- Niedaleko, około kilometra na zachód od was, jacyś idioci jeżdżą po lesie na kładach. Mieliśmy informować was o wszystkim – zabrzmiał ściszony głos.
- Ilu ich jest? – zapytał policjant.
- Około dziesięciu, wysłaliśmy wsparcie do patrolu, który ich zauważył, spróbujemy ich zatrzymać.
- W porządku, dzięki za informacje, będziemy uważni, zgłosimy się jeśli ich zauważymy – odezwał się policjant, przerywając połączenie.

— Jacyś popaprańcy jeżdżą na kładach po lesie, nie wiem kto to i czego tu szukają, ale uważaj – odezwał się policjant do kolegi przed domem.

— Ok.

Stojący na dole mężczyzna, czując chłód, zapiął wiatrówkę pod samą szyję i odbezpieczył broń. Dyżurujący na poddaszu policjant był niemal pewien, że słyszy warkot silników kładów, ale stłumiony hałas ucichł, zanim mężczyzna zdążył określić skąd dochodził. Podniósł do oczu lornetkę i od razu zdał sobie sprawę, że skierował ją tak, że mogło w nich się odbijać światło księżyca. Szybko ją opuścił i spojrzał odruchowo w niebo, wydawało mu się, że świecąca na niebie tarcza była większa niż zwykle. Prawie w tym samym momencie usłyszał puknięcie w znajdującą się przed nim szybę, kula z brzękiem uderzyła w radiostację.

— Kurwa – rzucił i odsuwając się od okna przywarł plecami do ściany, jednocześnie podnosząc rękę do ust – atakują, muszą nas obserwować, to musiał być snajper, trafił w radiostację – odezwał się do policjanta przed domem.

Odpowiedziała mu cisza, przeskoczył na drugą stronę okna i ostrożnie wyglądał pod kątem przez szybę. Starał się wypatrzyć kolegę na dole, ale dostrzegł tylko niewyraźną postać leżącą przy budynku w trawie. Zerwał się z miejsca, biegnąc po schodach i mijając nasze piętro, ryknął głośno.

— Pobudka, zostaliśmy zaatakowani.

Będąc już na dole zobaczył, że ani Rafał, ani drugi policjant już nie śpią. Rafał, widząc jak zbiegamy zaspani, od razu sięgnął po torbę.

— Umiecie się tym posługiwać? – zapytał, podając nam dwa pistolety.

Potwierdziliśmy, tylko kiwając głowami w odpowiedzi. Maxa pytać nie musiał, trzeci pistolet wylądował w jego dłoni.



- Muszą mieć snajpera, który nas obserwował, przestrelili radiostację i zabili Grzeška – relacjonował policjant, kucający przy łóżku Rafała – Straż Graniczna zdążyła mnie tylko ostrzec przez radiostację, że jacyś ludzie jeżdżą po lesie kładami, jest ich około dziesięciu – dodał.
- No to mają niezłą przewagę, dobrze chociaż, że to oni muszą atakować, dom daje nam większą możliwość obrony – odezwał się Rafał.

Śpiący wcześniej na dole policjant był już na górze, po chwili dołączył do niego kolega.

- Są na drzewach, musi być ich dwóch – krzyknął głośno do wszystkich jeden z policjantów z poddasza, po tym, jak obaj z kolegą zauważyli pojedyncze błyski wśród koron.

W tym momencie grad kul uderzał w ściany budynku, pociski po kolei rozbijały szyby w oknach i słyszeliśmy świst przelatujących kul w środku. Rafał z Jackiem odpowiadali ogniem z pierwszego piętra, policjanci z poddasza, a Max i ja strzelaliśmy przez okna na dole, broniąc parteru.

- Do cholery, czy my zawsze musimy mieć takie pieprzone „szczęście”? – krzyknąłem do Jacka pomiędzy wystrzałami.
- Jak skończymy, zaparzę ci melisy – odkrzyknął Jacek.
- Kretyn – rzuciłem już bardziej do siebie, widząc, że Jackowi chyba znów włączył się tryb „komando foki” i najwyraźniej w przypiływie adrenaliny przestała do niego docierać świadomość zagrożenia.
- Góra – krzyknął nagle Rafał.
- Cali, zdjęliśmy trzech, w tym jednego snajpera – usłyszeliśmy z poddasza.
- Osłaniaj mnie – rzucił Rafał.
- Odbiło ci – powiedział Jacek, kiedy zobaczył jak Rafał wychyla się przez okno, jednocześnie strzelając raz za razem w kierunku napastników.
- Mam drugiego – krzyknął z triumfem, patrząc jak bezwładne ciało spada wśród drzew i chowając się błyskawicznie do środka.
- Zostało sześciu, musimy się rozdzielić i zejść na dół, z tej strony widzę tylko trzech, pewnie próbują nas okrążyć – krzyknął jeden z policjantów.

— Obaj na dół, przejdźcie z drugiej strony domu – polecił Rafał – z tej zostało już tylko dwóch – dodał, oddając kolejny celny strzał.

Max zabrał z torby policyjny karabinek i szybko pobiegł na poddasze, aby zastąpić znajdujących się tam mężczyzn. Policjanci przemknęli obok mnie, wyslizgując się na zewnątrz. Widząc ich kątem oka starałem się osłaniać wychodzących, zużywając ostatnie naboje. Nie czekając odwróciłem się do torby, złapałem karabin szturmowy, odbezpieczyłem go, pamiętając jeszcze co nieco ze strzelnicy. Nie zdążyłem zająć pozycji przy oknie, kiedy usłyszałem krzyk Jacka.

— Rafał dostał, rzuć mi apteczkę – rzucił, wychylając na dół głowę.

Sięgnąłem do drugiej torby, widząc wcześniej białe pudełko w środku, złapałem jedno z nich i podrzuciłem w kierunku wyciągniętych rąk Jacka. Kiedy się odwracałem, zauważyłem ruch na zewnątrz, niedaleko okna, z którego wcześniej strzelałem. Odruchowo podniosłem lufę i nacisnąłem spust praktycznie bez mierzenia. Odgłos serii z karabinku zadudnił w uszach, czułem wibracje i odrzut, ścisnąłem mocno broń, starając się jednocześnie ją utrzymać i kierować ostrzał w stronę napastnika. Nie wiem jakim cudem trafiłem, ale za oknem zobaczyłem wyrzucone w górę ręce i opadające ciało. Musiałem mieć szczęście, z moim brakiem doświadczenia z taką bronią, na sto wystrzelonych pocisków zapewne trafiły może dwa.

— Ty Rambo, tylko się tam nie postrzel – usłyszałem głos Rafała i parsknięcie Jacka.

— Rafał widzę, że musiałeś dostać w głowę. Mądrale, was tam jest dwóch, ja tu sam ze strachu robię po gaciach, ale jak chcecie mogę lufę skierować w waszą stronę – odkrzyknąłem, strzelając znów przez rozbite okno – jak tak dalej mi będzie szło, ułatwię im zadanie i z domku nic nie zostanie – dodałem, patrząc na poszarpane strzępy framugi sterczące we wszystkie strony.

Rafałowi najwyraźniej udzieliły się durne żarty Jacka i moje, nachodzące nas w najmniej odpowiednich sytuacjach. Niewątpliwie na duchu podnosiło nas to, że wciąż żyjemy. Na poddaszu seria pocisków zadudniła, trafiając w drewniane krokwie podtrzymujące dach.

Max wiedząc, że atakujący musiał się odsłonić, postanowił zaryzykować i kiedy tylko seria ucichła, zbliżył się do okna. Napastnik okazał się jednak sprytniejszy, zanim Max zauważył go klęczącego niedaleko z karabinem, padł pojedynczy, celny strzał, trafiając go w głowę, nawet nie zdążył zareagować. Po chwili jego bezwładne ciało leżało na podłodze pod oknem. Nie widział już, jak mężczyzna po oddaniu śmiertelnego strzału, zbliżał się do domu. Przed budynkiem odezwała się kanonada karabinów. Na dole dwóch policjantów idąc przy ścianie, obeszło dom z drugiej strony. Początkowo nie widząc żadnego z atakujących, posuwali się dalej. Teraz napastnicy, po okrążeniu budynku, odezwali się z lasu po jego drugiej stronie. Jeden z policjantów padł od razu w wysoką trawę, drugi nie miał tyle szczęścia. Ciało przyciśnięte do ściany drgało chwilę, przyjmując kule, po czym mężczyzna ześlizgując się na ziemię zostawił krwawy ślad na elewacji domu. Ocalały policjant widząc, że ma trzech przeciwników, krzyknął w górę. Rafał słysząc podwładnego, skoczył do przeciwległego okna, przyklejony do ściany patrzył pod kątem przez ocalałą szybę. Na dole, leżący w lesie, napastnicy atakowali jego kolegę. Trzymając karabin, przełączył go na tryb pojedynczych strzałów i przycisnął broń do ramienia. Wyczekał chwilę i wycelował w wychylającą się z zarośli głowę, nacisnął spust i głowa odskoczyła do tyłu. Pozostałych dwóch szybko zorientowało się, że strzał padł z góry i wycofało się między drzewa. Rafał stracił ich z pola widzenia. Na dole strzały chwilowo ucichły. Kiedy odwróciłem się, chcąc sprawdzić co się dzieje na górze, zobaczyłem kucającego za mną Jacka.

— Skończyły mi się naboje – odezwał się, sięgając do leżącej obok mnie torby.

Kiedy wyjął karabinek, pokazałem mu jak go odbezpieczyć. W tym momencie drzwi za moimi plecami otworzyły się z hukiem, stało w nich trzech ludzi z wycelowaną w nas bronią.

— Rzućcie to – padł rozkaz i jeden z mężczyzn skinął brodą na trzymane przez nas karabinki.

W tym samym momencie jeden z nich podniósł broń do góry i wystrzelił, przesuwający się za oknami policjant zamarł na sekundę i upadł. Ratunek widzieliśmy jedynie w znajdującym się wciąż na pierwszym piętrze Rafale. Nagle padł pojedynczy strzał i jeden z napastników upadł, wyginając ciało do tyłu, odpowiedziało pozostałych dwóch wystrzelując serie w kierunku schodów. Ciało Rafała ześlizgnęło się bezwładnie po paru ostatnich stopniach.

Obok głowy, leżącego prawie pod naszymi nogami jednego z zabitych ludzi Syndykatu, pojawiła się spora kałuża krwi. Odruchowo chciałem sięgnąć po broń, którą przed chwilą rzuciliśmy na podłogę, ale stojący przed nami mężczyźni byli szybsi. Poczułem mocne szarpnięcie w ramieniu. Łapiąc się drugą ręką za miejsce trafienia, osunąłem się na deski, jęcząc z bólu.

— Nie zgrywajcie bohaterów – rzucił napastnik.

Jeden z nich stał z wymierzoną w nas lufą, podczas gdy drugi wiązał po kolei paskami uciętymi z toreb. Siedzieliśmy z Jackiem na podłodze z rękoma przywiązanyymi za plecami do nóg od stołu, podczas kiedy mężczyźni sprawdzali resztę domu.

— Kiedy mają po nas przyjechać? – zapytał kolegi jeden z napastników.

— Nie wiem, powinni być w ciągu godziny – odparł drugi, spoglądając na zegarek.

— Co z nimi robimy?

— Dzwon i upewnij się, ich miało tu nie być, a słyszałem, że szef chciał ich odnaleźć – odpowiedział mężczyzna.

Jeden z nich poszedł na górę trzymając telefon przy uchu, wrócił po około minucie.

— Wygląda na to, że macie szczęście, mamy was zabrać ze sobą – powiedział, zwracając się do nas.

W tym momencie zza pustych okien dobiegł nas słaby dźwięk silnika. Napastnicy spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Szybko, zabieramy ich – odezwał się jeden z mężczyzn i pochylił się, aby odwiązać nam dłonie od stołu, żeby za chwilę związać nam ponownie nadgarstki.

— Tam jeszcze muszą być kłady, nasi i tak nas namierzają, pojazdy mają GPS – odezwał się drugi, kiedy wyprowadzali nas na zewnątrz.

Skierowaliśmy się na tyły domu i szliśmy pośpiesznie w kierunku lasu. Dźwięk silnika stawał się coraz wyraźniejszy, teraz dopiero dało się usłyszeć dwa albo trzy pojazdy.

Prowadzeni, zniknęliśmy razem z napastnikami między gęsto rosnącymi drzewami. Poruszaliśmy się szybko robiąc lekki łuk i kierując się w stronę, z której zapewne przyjechali. Ramię bolało jak cholera, ale przynajmniej zanim wyszliśmy, zdążyłem uprosić mężczyzn, żeby pozwolili mi je przewiązać bandażem z apteczki, który teraz ścisnął mi rękę tamując ewentualny krwotok. Pośród drzew widać już było mocne światła reflektorów, zbliżających się pojazdów. Od razu pomyślałem, że to może być Straż Graniczna zaalarmowana strzelaniną i brakiem kontaktu z nami. Poza tym, mogli się zorientować, że ludzie na kładach kierują się w naszą stronę. Osłonięci lasem nie byliśmy widoczni dla ludzi w zbliżających się samochodach, zresztą i tak, nawet jeśli była to Straż, widząc pobojuwisko i zniszczenia budynku, najpierw sprawdzą wnętrze domu. To dawało przewagę w czasie, którą prowadzący nas mężczyźni chcieli na pewno wykorzystać.

Cholera może spróbować uciec i krzykiem zaalarmować przybyłych? Nie, nie dalibyśmy rady uciec, zabiliby nas od razu, kalkulowałem w myślach. Idący obok mnie Jacek zapewne tak samo jak ja, rozważał możliwości ucieczki. W pewnym momencie zauważyłem, że szliśmy po wzniesieniu, a po lewej stronie ziemia opadając przechodziła w głęboki wąwóz. Na polanie samochody podjeżdżały pod zdewastowany walką dom. Parę metrów przed nami spostrzegłem stojące kłady, do głowy wpadło mi jedyne wyjście z tej sytuacji. Nagle popchnąłem Jacka w stronę wąwozu spadając razem z nim ze wzniesienia. Od razu kiedy upadliśmy, staraliśmy się turlać jak najszybciej w dół. Usłyszeliśmy strzały, kule uderzały w drzewa i ze świstem przelatywały obok, trafiając w ziemię. Wydawało mi się, że usłyszałem jęk Jacka, ale tocząc się nie miałem możliwości nawet spojrzenia w jego stronę. Huk broni zaalarmował przybyłych pod dom ludzi i teraz dwa samochody skierowały się w stronę lasu, jadąc dokładnie w kierunku napastników. Z pojazdów padło parę niecelnych strzałów, ale w miarę zbliżania się do drzew, starający się nas zabić mężczyźni stawali się coraz lepiej oświetleni reflektorami samochodów. Musieli uciekać, chcąc się ratować i skorzystać ze stojących niedaleko kładów. Odgłosy broni wokół nas umilkły. Wydawało mi się, że turlając się spadam niewiarygodnie długo. Kiedy nachylenie podłoża zmałało, zatrzymałem się rozstawiając nogi i wbijając ręce w podłoże.

— Jacek, żyjesz? – krzyknąłem, patrząc jak niedaleko mnie zatrzymuje się kupa ziemi i oderwanej ściółki.